Rok XXII. Marzec i Kwiecień 1898. Nr. 3. i 4.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca
Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct.
Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 70 cent. z przesyłką 82 ct

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7. dokąd wszystkie pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil ul. Kar. Ludwika 7

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Redaktor: Dr. Józef Limbach.

Słowik

przez **Mikolaja Rybowskiego.**

Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie,
Słychać go w łozach, słychać w ciemnym lesie.
A gdy strumyczek szemrząc płynie wąski,
Pleszcze skrzydełka, skoczywszy z gałązki.

Słowik ulubieniec poetów.

Jest to mały, szczupły, niepokaźnie upierzony ptaszek, a jednak poeci wszystkich narodów uwiecznili go w swych pieśniach. Czynili to pod wpływem uroczego śpiewu, którego tkliwe dźwięki nawet zatwardziałe serce człowieka przenikają. Któżby nie słuchał ze wzruszeniem uroczych melodyj tego pieśniarza, gdy w cichą noc wiosenną kwili w krzakach donośnie.

Starożytni poeci przedstawiają raj ziemski w sielankach: „Gaj mirtowy w świeżej zieleni wiosennej ze źródłem tryskającem i ze słowikami, które śpiewają na gałązkach“. Lirycy greccy prześcigali się w pochwałach powabnego kwilenia tego śpiewaku, sławiąc jasność i czystość jego głosu „o dźwiękach

słodkich jak miód". Przyznają mu pierwszeństwo między ptakami śpiewającymi. Uważali słowika za godło — za świętego ptaka poezyi — jak później łabędzia.

Starożytni Grecy opowiadali, że w okolicy świątyni śpiewaka i lutnisty Orfeusza w Antissie na Lebos, gdzie jego głowa ma być pochowaną, słowiki najpiękniej śpiewają. Tak samo mówi bojan o grobie Orfeusza w Tracyi.

Drugi mityczny patron muzyki w starożytności był także tracki śpiewak Thamyras. Plato opowiada myt, że dusza Thamyrasa obrała sobie życie w słowiku.

I u nas za dawnych czasów, kiedy to w borach gnieździło się nigdy niepłoszone ptactwo, zachwycano się temi melodyami, pełnemi ujmującej prostoty i czarującego dźwięku

W pieśniach naszych wieszczów jest słowik z wielką miłością opiewany.

Na ziemiach Polski od wieków nucą rzewnie słowiki. Wzbudzają zachwyt u ludzi zdolnych odczuć powab przyrody i dźwięk harmonijny. Wiadomo z dziejów, że śpiew słowików sprawiał rozkosz królowi Władysławowi Jagielle, co było ostatecznie powodem jego śmierci, bo zaziębił się, przysłuchując się w Medyce i w Gródku pieniom słowiczym.

Śpiew słowika zachwycał poetów polskich — a osobliwie tych, który przebywali także na wsi. Przytaczamy ich zdania, co mówią o tej ptaszynie:

Ludwik S y r o k o m l a K o n d r a t o w i c z tak pisze:

„O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
Piej do duszy naszej, piej, s ł o w i k u piej!"

W innem miejscu tak mówi o słowiku:

„Co swą pieśnią wieczorną
Spędza troską uporną,
A w jej miejsce — nadzieje
Zdrowia — życia naleje.

Księżyc przy jego śpiewie
Własnej drogi już nie wie;
Zatrzyma się i słucha!

I westchnieniem wybucha!
I łza, co leje z duszy,
Na ziemię rosą pruszy.

Teofil Lenartowicz tak przemawia do słowika:

„Powiedz mi s ł o w i c z k u, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie;
O czem ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody,
W miłym rozgłośnym śpiewie,
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

* * *

Chór słowików:

Ej, drobniż my ptaszkowie,
Pieśnią wzruszamy las,
Modlimy się Jehowie,
Jako nauczył nas;
Ej, weźcie nas anieli,
Weźcie w niebieski chór!
Niech nasza pieśń wystrzeli
Aż pod obłoki chmur,
I tam — i tam,
U niebios bram,
Odbije wtór!"

Wincenty Pol tak mówi o słowiku:

„Po nad Wisłą wikla rosną,
Więc stój bracie! tutaj bywa
Zwykle słowik — jakoż śpiewa,
A że śpiewa tylko wiosną,
Więc posłuchać nie zawadzi:
Co za koncert! jak się sadzi!
To dla serca Śpiewka boska!
W kąt śpiewaczka nawet włoska!"

Lucyan Siemiński tak się wywnętrza o słowiku:

„Był dzień majowy, ciepły, mgła wilgotnych woni
Wisiała nad sadami bzów, wiśni, jabłoni,
Słowik zaś te zapachy chcąc zagłuszyć w pieśni,
Przekonał, że duch woni, duch śpiewu — rówieśnik
Są jacyś geniuszkowie. Jeśli woń odurzy,
To Śpiew z serca wyciśnie uczucie, jak z róży
Wyciskają na wschodzie olejek pachnący — —"

Adam Mickiewicz porównując Bogdana Zaleskiego ze słowikiem, tak pisze:

„Słowiczku mój! a leć, a piej!
Na pożegnanie piej,
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej".

*

Kazimierz Brodziński tak wspomina o słowiku:

„Za parkanem między krzewy
Zaczął słowik swoje śpiewy“.

Mieczysław Romanowski tak mówi:

„Wieczór cichy, lubo senno,
Wietrzyk wionął mgłą wiosenną.
A w ogródku, tam w krzewinie
Pieśń słowika łzawo płynie;
Tęskno, rzewnie,
Dźwięcznie, śpiewnie,
Po gałązkach brzmi“.

W innem miejscu:

„A o wieczorze, w cichej krzewinie
Śpiewka słowika melancholijnie
I tak żałośnie wokoło rozbrzmiewa,
Niby tęsknotę ptaszyna śpiewa“.

Nazwa słowika u Słowian i u innych narodów.

Pierwszy, kto nazwał śpiewaka wiosny słowikiem, musiał odczuć podobieństwo w jego śpiewie z dźwiękiem naszej mowy. We wszystkich innych językach ma nazwę od nocy, w której śpiewa, to od miłego śpiewu, a we wszystkich słowiańskich językach bierze nazwę od słowa i zowie się po polsku słowikiem, po rusku sołowij, go rosyjsku sołowej, po czesku slawik, po słowacku sławik, po chorwacku szlavich, po czarnogórsku slawsz, po słowiańsku sławulj; Serbowie łużyccy nazywają go slavizh albo fowrik.

Nazwisko słowika w językach germańskich okazuje, że jest śpiewakiem nocy, ptakiem nocnym.

Jedna pieśń ludu niemieckiego mówi, że dzień wysusza słowika.

Słowik ptak nocny, przelotny.

Słowiki przybywają do nas na wiosnę, prawie wtedy, gdy tarnina zielenić się zaczyna. Podróż odbywają pojedynczo w nocy. Najpierw lecą samce, a w tydzień później zjawiają się samice. Niekiedy na wiosnę, wczas rano spostrzedz można słowika, złatującego z obłoków i sadowiącego się w krzakach, gdzie dzień przebywa; zwykle każdy śpiewem swe przybycie ogłasza. Każdy wyszukuje tę samą część lasu, ten sam ogród, te same

krzaki, gdzie przeżył lato poprzednie. Młody samczyk stara się osiedlić w pobliżu tego miejsca, gdzie stała jego kolebka. Po szczęśliwym powrocie na miejsce rodzinne śpiew natychmiast rozpoczyna. W pierwszych nocach po jego przybyciu brzmi śpiew bezustannie. Służy on zapewne za wskazówkę dla małżonki, (samiczki) lecącej wysoko w ciemności nocy, albo w zamiarze pozyskania jeszcze wolnego serca. Parka łączy się nie bez walki i troski, bo każdy wolny samczyk stara się drugiemu odbić narzeczoną. Zajadle walczą ze sobą przeciwnicy; z świergotliwem ćwirkaniem gonią się po zaroślach aż nad wierzchołek drzew, to znowu aż na ziemię; zażarcie napadają się wzajemnie, aż zwycięzca staje się panem placu bitwy i prawdopodobnie samiczki. Godziny nocne, wczesny poranek i późny wieczór poświęca teraz samczyk śpiewaniu, a samiczka przysłuchuje się tem rzewnem pieniom. Czas pozostały zajmuje troska o chleb powszedni. Wnet potem dołącza się nowa troska o kolebkę dla dzieci.

(C. d. n.)

Z zapisków dyletanta.[1]

Bajka o głodzeniu się łososia w świetle praktyki rybackiej.

Znaną jest odpowiedź owego dowcipnego niemca, który, zagadnięty o definicyą sportu wędkowego, rzekł: Unter Angelsport versteht man einen Stock, an dessen einem Ende ein Wurm und am anderen ein Narr hängt[2]). W definicyi tej niezawodnie mieści się nieco prawdy, gdy chodzi o wędkarzy oblegających n. p. brzegi Wisły w niedziele i święta, urwiszów, stroniących od pracy a polujących na kiełbie, ukleje i inne białe rybki, nie ryby. Chciałbym jednak widzieć owego „Narr“ tam, gdzie przedmiotem łowu ma być łosoś, pstrąg, lipień lub szczupak; tu kij i sznur nie stanowią wcale istoty rzeczy i trzeba sporej dozy doświadczenia, zmysłu spostrzegawczego i wprawy, by te mądre ryby do chwycenia ponęty skłonić, a co jeszcze trudniejsza, wydobyć z wody na brzeg bezpieczny.

Łowię pstrągi od lat 30, a mimo, iż posługuję się dobremi narzędziami i dawno już pozbyłem się gorączki rybackiej, po

---

[1]) Okólnik 31 Kr. tow. rybackiego.

[2]) Przez sport wędkowy rozumie się kij, na którego jednym ońcu przy czepiony robak, a na drugim głupiec.

dwakroć w roku bieżącym przegrałem kampanię z łososiem, którego w myśli już widziałem umarynowanym. — Nie chcę nudzić łaskawego czytelnika opowiadaniem szczegółów tego zresztą ciekawego spotkania, pozostawiając to sobie do innej okazyi, wolę bowiem in vocem łososia wysnuć kilka wniosków mogących mieć ogólniejsze znaczenie. Twierdzenie ichtyologów i innych powag rybackich, jakoby łosoś w wodach lądowych żadnego nie przyjmował pokarmu, nasunąć musi mimowolnie każdemu, kto łososia trzymał na haku swej wędki, myśl, iż powagi owe rozstrzygające zagadnienia przyrody przy świetle lampy z pomocą mikroskopu i retort, niekiedy mijać się mogą i muszą z faktycznym stanem rzeczy i w grubych namacalnych nieraz rzeczach rozpowszechniają opinie wręcz niemożliwe i sprzeczne z prawdą. Jakże bowiem wytłómaczyć sobie apetyt łososia do sztucznej muchy i tak częste poławianie go *wędką* w rzekach Szkocyi, Wezerze Dunajcu itd., jeżeli się nie przyjmie za pewnik, iż łosoś li dla tego muchy sztucznej się chwyta, iż naturalna, żywa stanowi jego pokarm powszedni, chleb codzienny. Żadna ryba nie ima się wędki dla gimnastyki lub rozrywki, lecz powodowana jedynie głodem lub apetytem, logicznym tedy jest wniosek, że i łosoś, który uwisł na haku, jeść chciał i powodowany tą jedyną chęcią porwał za ponętę nie w innym celu, jak w celu spożycia jej, zyli zaspokojenia swojego głodu, a skoro uczucie głodu nie jest mu obcem, jeść musi i jak się kilkakrotnie przekonać miałem sposobność, jada dużo. Widziałem bowiem rankami i wieczorami łososie, skaczące do much żywych całemi godzinami, lub pryskające ogonem, jak to pokłute wędką pstrągi czynić zwykły, wodę, by muchy nad nią szybujące zatopić, a następnie zmoczone i spadające na powierzchnię spożyć. — Że łosoś jak i większość ryb wogóle *w czasie tarla* pokarmu mało lub wcale nie przyjmuje, to prawdą być może i jest niezawodnie, post jednakże ten u łososia i innych ryb drapieżnych i w tym wypadku mniejbym kadł na karb miłosnego upojenia ryby, jak raczej na smutną konieczność; cała bowiem fauna wodna w czasie godów łososia i pstrąga dawno spowita snem zimowym, a powietrzna już w październiku znikła z kretesem; trudno tedy paść się łososiowi, gdy niema czem.

Jako dowód nieprzyjmowania pokarmu przytaczają przyrodnicy fakt, iż żołądki łososi badane na zawartość swą, bywały puste i prócz śluzu nie wykazywały żadnych stałych pozosta-

łości pokarmu. By na podstawie tych danych postawić można jakiekolwiek, z prawdą licujące twierdzenie, trzebaby najpierw dokładnie oznaczyć w *jakiej porze*, w *jakiem miejscu* i w *jakich warunkach* łowione były owe łososie, których żołądki badano. Jeżeli to bowiem były tarlaki lub ryby brane z sadzawek, gdzie je żywe przez dłuższy lub krótszy czas przechowywano, lub wreszcie ryby ułowione w dolnym lub środkowym biegu rzek nizinnych, to rozbiór żołądka niczego zgoła nie dowodzi. Łosoś bowiem, jak zresztą wiele innych ryb, zamknięty na ciasnej przestrzeni pokarmu wcale nie przyjmuje, (ale też i chudnie na poczekaniu, jak to przy pomocy wagi dowodnie skonstatować można) z wyjątkiem chyba planktonu, który go w zamknięciu dla minimalnej swej ilości z pewnóścią nie utuczy, a w żoładku jego nie wiele namacalnych pozostawić może śladów; tarlak zaś nie je raz dlatego, że się trze, a powtóre dlatego, iż choćby jęść chciał, pokarmu nie znajdzie, jak to powyż nadmieniłem. Co do znaczenia miejsca połowu łososi, których żołądki badane były, lub być mają, łaskawy czytelnik poniż znajdzie objaśnienie.

Dla mnie i każdego rybaka, który miał sposobność zaznajomienia się bliższego i obserwowania łososia w jego właściwym żywiole t. j. w wirach i prądach wód górskich i przypatrzył się zachowaniu się jego wobec sztucznej muchy i wędki, wątpliwem wcale być nie może, że łosoś jest wcale żarłoczną rybą, że tak w górnym biegu naszych wód, jak i gdzieindziej żywi się fauną wodną i powietrzną, a więc przyjmuje wszelki pokarm, który drapieżnej jego naturze odpowiada i w danej wodzie zdobyć się da, inaczej bowiem wytłómaczyćby sobie nie można faktu nierzadkiego wcale łowienia łososi *na wędkę*, opatrzoną ponętą sztuczną (mucha, rybka), lub naturalną (jętka; dżdżownica). Obserwowałem w ciągu lata b. r. kilka łososi. które w upatrzonem z ubytkiem wody miejscu leżały dłuższy czas, nie zmieniając stanowiska swego dniami całymi lub schodząc z prądów wieczorem i rankiem na wodę głęboką w celu łowu. Jeden z nich chwycił muchę mej wędki tak *żarłocznie*, iż chybił przy pierwszym rzucie, poddałem mu ją więc zniżając nieco wędzisko, i choć to było przy samym brzegu i łosoś ruch wędziska i mnie doskonale widział, bo stałem tuż nad wodą, nie lękał się *mimo wrodzonej* swej płochliwości rzucić się ponownie ku tonącej musze i uwisł na haku gruntownie, jak to po ruchu jego i dalszem zachowaniu się ocenić łatwo mogłem. Demonstrować chyba nie

potrzebuję, że to był łosoś głodny, a mucha mej wędki duża march brown, zbyt smacznym wydać mu się musiała kąskiem, gdy dwa razy z rzędu mimo groźby kija i obecności bezpośredniej człowieka pokusić się o nią uznał za słuszne. (C. d. n.)

Meta Behringer.

Dnia 24. października 1897 r. o godzinie 12. w nocy rozstała się z tym światem doczesnym Meta Beringer, która była członkiem towarzystwa ochrony zwierząt w Berlinie. Przez całe swoje życie nader gorliwie, broniła sprawy biednych, dręczonych istot zwierzęcych. Osobliwie pragnęła wpływać przez młodzież, by już w młodym wieku zaszczepiać zasady litości, będąc przekonaną, że kto za młodu przyzwyczai się widzieć w zwierzęciu istotę czującą, ten i później zawsze w szlachetnej obronie świata zwierzęcego stawać będzie.

Cały swój majątek, zwiększony datkami, na ten cel zebranymi, w kwocie 74.000. zapisała na cele towarzystwa ochrony zwierząt, a w szczególności, by umożliwić towarzystwu przez tę fundacyę oddziaływanie na młodzież szkolną i tym sposobem wychować przyszłą generacyę, którаby z przekonania, z młodości zaszczepionego dzielnie w obronie zwierząt stawała. Jak umysł zmarłej do ostatniej chwili był tem przejęty, świadczy list na godzinę przed śmiercią, a to śmiercią bolesną, bo przez raka gardlanego, napisała:

„W godzinie śmierci mojej — pisze — pozdrawiam serdecznie mych przyjaciół i wszystkich dobrych ludzi i proszę, by pracę mego żywota dokończyli. Proszę szczególnie o staranie, by już szkoła w sercach dziecięcych litość nad zwierzętami budzila i pielęgnowała, a wtedy z pewnością wzrośnie litość i pomoc względem bliźnich“.

Meta Behringer.

Czyż to nie wzniosłe słowa, czyż to nie dobra odpowiedź tym, którzy nam zarzucają, że bronimy zwierzęta, a nie bronimy ludzi?

Cześć jej pamięci! *Lim.*

Protokół

XXII. Walnego Zgromadzenia gal. Towarzystwa ochrony zwierząt

odbytego w dniu 26. marca 1898.

Obecnych członków 32.

Przewodniczący WP. Feliks Pławicki.

Prezes: Witam Szanowne Zgromadzenie i otwieram 22. Walne Zgromadzenie. Jak ze sprawozdania, Szanowni Panowie, słyszeć będziecie, nie możemy tego roku się pochwalić, byśmy naprzód awansowali, co do ilości członków. Do 50 członków

musieliśmy eliminować z powodu zaległych kilkuletnich wkłeekd. Nie traćmy jednak nadziei i odwagi, przyjdą lepsze czasy; istniejemy lat 22, będziemy i nadal istnieli, Opatrzność nie opuści nas. Prawda, że nieraz z biedą walczyć musimy, nie mamy kuponów, jak inne towarzystwa, ale za to mamy kupony ludzkości, one nam będą pomocne i doczekamy się zwycięstwa naszych idei. — Otwierając to Walne Zgromadzenie, proszę pana sekretarza o odczytanie protokołu z ostatniego Zgromadzenia

Prof. Pohorecki stawia wniosek, by uwolniono sekretarza od czytania protokołu, umieszczonego już w Miesięczniku.

Uchwalono.

Teraz przystąpił prezes po stosownej przemowie do udzielenia nagród dwom członkom straży policyjnej, którzy gorliwie zapobiegali dręczeniom zwierząt.

Nastąpiło sprawozdanie sekretarza, który przemówił w te słowa:

Szanowne Zgromadzenie!

Rok znowu upłynął od czasu, jak stawałem przed Panami, jako sekretarz towarzystwa, by złożyć roczne sprawozdanie.

Rok — to dość wielki przeciąg czasu w życiu naszego towarzystwa; z początkiem jego pytamy się, co mamy w ciągu tegoż robić, z końcem znowu zadajemy sobie pytanie, czy osiągnęliśmy to, do czegośmy zmierzali.

Na pierwsze pytanie łatwa odpowiedź: jasne i widoczne są cele nasze, kłaść tamę dręczeniu zwierząt, pouczać tych, którzy nie wiedzą, że zwierzę tak czuje jak i człowiek, że tak samo jak i on ma prawo do życia bezbolesnego, a przynajmniej do bezbolesnej śmierci, pouczać, że dając przykład litości nad zwierzęciem, potrafimy być litościwymi względem ludzi, — a nareszcie starać się o to, by winowajca nie uszedł zasłużonej kary. Z początkiem roku każdy z nas patrzy z otuchą w przyszłość, każdy z nas przejęty najlepszemi nadziejami sądzi, że w ciągu oku popchnie chociaż o krok dalej naszą sprawę, chociaż malutką cegiełkę położy do budowy wspaniałego gmachu, w którymby sprawiedliwość względem ludzi i zwierząt wszechwładnie panowała.

Niestety nadzieja, co innego, a rzeczywistość co innego, gdy rzucimy okiem w przeszłość i przy końcu roku, gdy zapytamy się o rezultaty naszych prac i usiłowań, wówczas rozczaro-

wanie wielkie, widzimy, że osiągnięte rezultaty nie stają w żadnym stosunku do naszych starań. I dziwimy się temu i pytamy, gdzie leży tego przyczyna?

Oświadczyć tu muszę publicznie, otwarcie, nie obwijając w bawełnę słodkich słów, gorzkiej prawdy, że publiczność nasza, tu we Lwowie, w centrum naszej cywilizacyi, w znacznej, a nawet w bardzo znacznej swej części nie rozumie, lub co gorsze, nie chce rozumieć celów naszych. Zamiast z pomocą, spotkasz się u przechodniów z ironią, lub z fałszywym wstydem, bo jakżeż można rozpoczynać sprzeczkę z woźnicą, katującym konie na ulicy i narazić się może na złajanie z jego strony, stać się przyczyną zbiegowiska, a może nawet pójść na policyę i świadczyć, czas tracić, a — uchowaj Boże, lepiej niech zwierzę cierpi, niżbym ja miał się narażać na takie nieprzyjemności. To są myśli nie jednego, ale 10, 100, a może i więcej przechodni w obec katowania zwierząt, nim ktoś się znajdzie nie powiem z czulszem sercem, bo i tamten mógł to odczuć, ale z większą cywilną odwagą i położy kres złemu.

To jedna przyczyna naszych bezowocnych usiłowań; a przejdźmy teraz do drugiej. Tu trzeba uderzyć się w piersi i powiedzieć: „zawiniliśmy“, winę ponosi wielu wielu z naszych członków, którzy zapisawszy się pod nasz sztandar, sądzą, że zapłaceniem wkładki rocznej, tej nibyto jałmużny dla zwierząt, spełnił już wszystko. Nie tędy droga do celu; cóż z takiego członka, który nigdy czynnie nie wystąpi w obronie tych istot, których bronić się zobowiązał, przyłączywszy się do nas? Ale są i tacy, którzy zapisawszy się na członka, pobierają nasz „Miesięcznik“, by pewnego pięknego poranku przestać płacić, ale pobierają dalej czasopismo, bo cóż to szkodzi brać gdy dają, nie pomni, że i my mamy pewne wydatki, które pokryte być muszą Otóż są między nami i tacy, ale niech mi tu będzie wolno skonstatować, że zarzut ten lwowskich członków nie tyczy, prowincya takich członków wykazuje.

Tych kilka uwag pozwoliłem sobie zrobić dla wytłómaczenia, dlaczego sprawozdanie moje tegoroczne mniejszą liczbę członków wykaże. W myśl zapadłej uchwały Wydziału wykreśliliśmy z listy naszych członków tych, którzy dwa, a nawet więcej lat wkładek nie uiszczali.

W roku 1898 liczy nasze towarzystwo po wykreśleniu niepłacących członków, czynnych członków 287, w tej liczbie tylko

89 zamiejscowych. Prócz tego mamy filie w Rzeszowie, Nowym Sączu, Gorlicach, ta ostatnia, zawiązana z inicyatywy lekarza weterynaryi p. Włodzimierza Bilińskiego, rozwija się pomyślnie i rokuje piękne nadzieje na przyszłość, niestety upadła filia w Kałuszu, po trzechletniem zaledwie istnieniu, a przyczyna tego łatwa do odgadnięcia, ta sama co zawsze, inicyator i założyciel, gorliwy nasz członek p. Sucharowski, opuścił miasto i filia poszła w niwecz. Natomiast nie wytłómaczoną mi jest rzeczą, dlaczego nie powstała filia w Kołomyi, proszono nas stamtąd o założenie tejże, uzyskaliśmy na to pozwolenie c. k. Namiestnictwa, sam osobiście byłem w Kołomyi u inicyatora tej myśli, by pchnąć tę sprawę naprzód, niestety rok upływa, a nikt mimo urgowania nie dał znaku życia; szkoda było tylko kosztów i zachodu.

Na posiedzeniach Wydziału, które odbywały się pod przewodnictwem p. Pławickiego, lub dyr. Maresza, omawiano i załatwiano sprawy w zakres naszego towarzystwa wchodzące.

Wielokrotnie poruszona i nawet na Walnem Zgromadzeniu omawiana sprawa numerowania wozów, krążących po ulicach miasta, dobiega szczęśliwie do końca. W czasie ostatniej bytności naszej delegacyi u WP. Prezydenta miasta, gdy przedstawiliśmy jemu tę sprawę ustnie, niechcąc nadaremnie poraz trzeci urgować, kazał sobie tenże zaraz przy nas zdać relacyę, z której się okazało. że w nowo układającym się regulaminie jazdy w mieście nasze żądania już uwzględnione zostały. Uzyskaliśmy dalej zakaz odbywania łowów psich przed godziną 8 przed budynkami szkolnymi, na co niejednokrotnie w dziennikach się skarzono, nie mogliśmy niestety uzyskać od dotyczącej władzy zakazu łowienia psów na chodnikach i plantacyach, chociaż, co tu zaznaczam, w instrukcyi dotychczas obowiązującej, zakaz taki istnieje, lecz samowolnie zmieniony został. Naszym naleganiom tylko takie ustępstwo zrobiono, że nie wolno tego rakarzowi robić w najbardziej ludnych ulicach. Na nową instrukcyę daremnie jeszcze czekąmy.

Jak wyglądają konie tramwajowe, każdy z nas dobrze wie, prośba nasza zeszłoroczna o rewizyę odmownie załatwioną została z wiadomych Panom powodów; z mocy uchwały Wydziału wniosłem drugą podobną petycyę, która może przecież skutek odniesie.

Z artykułu mego wstępnego w styczniowym numerze tegorocznym mogło się Szanowne Zgromadzenie przekonać, jak ha-

niebne stosunki panują na placu św. Teodora, dla zaradzenia złemu wnieśliśliśmy podanie, stosownie motywowane do magistratu, a ustnie poparliśmy naszą prośbę w c. k. Dyrekcyi Policyi, niestety to, czego żądaliśmy t. j. stójkowego w dnie targowe, otrzymać nie możemy, nie z braku dobrej woli, ale z braku sił.

Tutaj niech mi będzie wolno podzielić się z Szanownem Zgromadzeniem z kilkoma wiadomościami, które każdego członka naszego towarzystwa obchodzić muszą. Niejednokrotnie dochodziły nas skargi członków, że żołnierz policyjny zapisując sobie nazwisko winowajcy, nie chciał podać go do wiadomości członka, który ze swej strony miał zamiar sam skargę wnieść, lub mnie uwiadomić. To spowodowało nas nawet w jednym konkretnym wypadku wnieść stosowne podanie do komendanta żandarmeryi. Otóż wczoraj z ust kompetentnych dowiedzieliśmy się, że żołnierz policyjny nie ma obowiązku stronę cywilną powiadomić i że tego uzyskać żadną miarą nie możemy, dopóki straż policyjna będzie wojskową.

Drugą okolicznością, na którąbym chciał uwagę Panów zwrócić, by czasem w kolizyę z żołnierzem policyjnym nie wejść jest to, że jemu nie wolno teraz sprowadzać winowajcę z furą wprost na policyę, tylko, że musi zadowolić się rodowodem, który mu tenże poda, a który — nawiasem mówiąc — z pewnością co trzeci, jeśli nie co drugi, jest fałszywy. Rozporządzenie takie jest znowu wynikiem braku sił policyjnych, bo przez to na dłuższy czas wielki rejon bez policyanta musiałby się znajdować.

Jak Panowie widzą nie świetne są dla nas widoki na najbliższą przyszłość. Jedyna rzecz, która złemu zaradzi, to zaprowadzenie znaczonych wozów, o czem już wspominaliśmy.

Co się tyczy naszego projektu o uprzężach, to ten czeka jeszcze ciągle swego załatwienia, wiem że, rzecz taka wymaga głębszego zastanowienia się, może nawet pewnego studyum, ale sądzę, że przeciąg dwuletni był aż nadto długim do załatwienia, niestety nie wszędzie i nie wszyscy nam są chętni.

Spełniając uchwałę przeszłego Walnego zgromadzenia wnieśliśmy raz jeszcze prośbę o subwencyę do Sejmu, lecz niestety, jak można było się spodziewać, otrzymaliśmy odmowną rezolucyę.

Jedna Kasa Oszczędności, co pamięta o nas. Tamtego roku otrzymaliśmy subwencyę w kwocie 50 złr., za co na tem miejscu

njech mi będzie wolno Świetnej Dyrekcyi podziękować. Mamy niepłonną nadzieję, że i tego roku o nas Dyrekcya nie zapomni.

Smutny jest więc horoskop nasz na przyszłość, tylko konsekwentne, wspólne działanie nas wszystkich poprowadzi dalej, nie pozwoli nam zaginąć i wyjdziemy z walki zwycięzko.

Na razie kończę, później będę miał Panom przedłożyć wnioski wydziału, zdążające do rozszerzenia naszego Towarzystwa.

Zgromadzenie przyjęło to sprawozdanie do wiadomości.

(C. d. n.)

Rozmaitości.

Kongres towarzystwa ochrony zwierząt w Paryżu w r. 1890. Ciekawy spór wywiązał się między Berlinem i Paryżem pod tym względem. Oto Paryż nie postawił na porządku dziennym sprawy wisekcyi, jak to ostatni 12. Kongres międzynarodowy był polecił. Przeciw temu założyło protest berlińskie towarzystwo. Ciekawiśmy jak teraz Francuzi postąpią.

Inteligencya w małpim rodzie — oddawna została stwierdzona przez różnych badaczy przyrodników. Co do cnót i zalet małpich zdania są podzielone. Przyrodnik niemiecki Brehm, powiada, że małpy są karykaturą ludzi do których są podobne, głównie przez swe wady. Co prawda, zdanie to i dla ludzi nie bardzo jest pochlebne, Inny naturalista Wogler, dowodzi, że wady spotykane u małp są wynikiem wychowania; na zwierzę można tak wpływać, jak na dziecko. i rozwijać w niem rozmaite zalety, jakiemi je przyroda obdarzyła, Złośliwość u małp często spotykana, jest wynikiem praktyki życiowej, zwierzę, z którem człowiek obchodzi się łagodnie, samo też staje się łagodnem. Dowodem tego między innemi „Bambula“ małpka z ogrodu zoologicznego w Paryżu. Sprowadzono ją z głębin Afryki, oryginalność jej głównie na tem polega, iż twarz jej czarna przypomina rysy negra. Gdy znalazła się w ogrodzie, ze zdziwieniem przyglądała się wszystkiemu, na ludzi spoglądała podejrzliwie, ale w końcu tak się oswoiła, że dziś jest największą „przyjaciółką“ służby i publiczności. Ale niech no się tylko w ogrodzie pojawi murzyn, wówczas Bambulę trzeba trzymać całą siłą lub uwiązać ją na łańcuchu, nagle bowiem budzi się w niej wściekłość, rzuca się, gryzie, dostaje formalnej gorączki, po której kilka dni choruje. Przyrodnicy tłómaczą to w ten sposób, że negrowie afrykańscy prześladują ten rodzaj zwierząt, stąd też wzajemna nienawiść jest u nich niejako wrodzoną. Inna małpka z tegoż ogrodu „Diane la Manchotte“ jest przykładem cierpliwości i zręczności. Kiedyś skacząc, złamała jedną z rąk swoich. Chciano ją zabić, ale dozorca ogrodu, przywiązany do swych pupilów, pragnął

ją uratować. Wezwano chirurga, wsadzono rękę w gips, ale nie chciała się zgoić. Trzeba było uciec się do amputacyi. Ponieważ uspienie było ryzykowne, wykonano więc amputacyę bez chloroformu. Rzadko znaleść można pacyenta tak cierpliwego. Z bolu gryzła rękaw dozorcy, którą ją trzymał, a jednak nie dotknęła jego ciała. Dziś ile razy do klatki małpiej zbliży się ów chirurg, który ją uratował, biegnie do niego i wszelkimi możliwymi sposobami stara się okazać mu wdzięczność.

Jak daleko spotykają ptaki na morzu! Na zgromadzeniu przyrodników, kierujących paryskiemi muzeami, p. t. Milne Edwards podał kilka wiadomości, odpowiadających na powyższe pytanie. Jeden z korespondentów Muzeum przyrodniczego p. Baron schwytał zimorodka, który spadł na okręt la Novarre d. 10 września 1896. Okręt ten znajdował się wtedy na 300 mil morskich od lądu Ptaszek pochodził z północnej Ameryki i był zapewne uniesiony przez burzę. W listopadzie tegoż roku dwa sokoły pielgrzymy usiadły na masztach okrętu le Saint Laurent, oddalonego o 300 killometrów od wszelkiego lądu. Wielka to wodna podróż. Prawda, że te dwa ptaki były tak zmęczone, że pozwoliły się ująć bezwłocznie. Dano im pożywienie i przyszły wkrótce do siebie; dziś znajdują się w menażeryi Muzeum.

Podróż psa naokoło świata. Ta podróż może wzbudzić i zazdrość w ludziach, odbywających podróż naokoło świata w warunkach najdziwaczniejszych, którym się dobrowolnie poddają. Pies odbył tę podróż sam, z Tacoma (w Stanie Waszyngton), i przez ocean Spokojny, Indyjski i Atlantyk. Chociaż nie miał grosza przy sobie, jak wielu podróżnych, wcale nie potrzebował podróżować pieszo, owszem mógł używać wszelkich sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsca. Owney tak się pies nazywa — jest szkockim „terier“, w pewnym już wieku. Podróżuje już od lat 12 w wagonach pocztowych na całej przestrzeni Ameryki, i nosi przy swojej obroży 190 medalów miedzianych na pamiątkę miast, które zwiedzał. Przed $2^1/_2$ laty Owney wyjechał z Tacoma, mając na szyi tabliczkę w następującym napisem: „Do wszystkich, którzy tego psa spotkają: Nazywa się Owney. Jest ulubieńcem 100.000 urzędników państwowych Stanów Zjednoczonych amerykańskich. Wyjeżdża dziś, 18. sierpnia, w podróż naokoło świata. Proszę być dla niego dobrym i wysyłać go, tak na lądzie, jak na morzu, w kierunku Jokahama, Hong-Kong, Nev-York“. Owney wykonał swój program, przyjechał ocean Spokojny, w Jokahamie wsławił się w walce z psami japońskimi, które pokonał. Podróż jego skończyła się wjazdem tryumfalnym w cable car, w Nev-Yorku. Wrócił do Ameryki na statku „Port Philip“, na którym uprzejmie zapłacił za swoje utrzymanie, złapawszy więcej niż 200 szczurów, co połączone z jego osobistymi przymiotami, sprawiło, że załoga i oficerowie bardzo go żałowali, gdy statek opuszczał. Czy o wielu podróżnych możnaby to samo powiedzieć? (*Wędr.*)

Muchy jako przenośniki zarazy. Obserwując przez długie lata, i zestawiając liczne fakta, sprawdzono, że bardzo często zakaźne

choroby udzielają się ludziom przez muchy. Tak n. p. na południu muchy zwane mustykami są przyczyną szybkiego rozszerzenia się malaryi. Sprawdzono wielokrotnie, że jeżeli mucha mustyk siędzie na chorym i utnie potem zdrowego człowieka, to ostatni niewątpliwie zachoruje. Chorobę roznosi samica, samiec bowiem krwi ludzkiej nie pije i ludzi nie dręczy, przeszczepia bakcyle, kłując kolejno chorych i zdrowych. Dziś pewnem jest, że muchy przenoszą mikroby tuberkuliczne, choleryczne, wąglikowe, a nawet bakcyle ropiącej choroby oczu. Często w dolinie, gdzie są mustyki, panuje choroba, podczas gdy tuż obok na górze, gdzie ich niema, niema też i epidemii. Ci, którzy mają twardą skórę, nie podlegają malaryi n. p. murzyni w okolicach bagnistych, gdzie biali są ofiarami epidemii.

Dla tej przyczyny jeden z uczonych francuskich ostrzega, żeby się strzedz much wielkiego rodzaju.

Biedne psy. W fizyologii przeróbki materyi uważa się za rzecz dowiedzioną, że tłuszcz w ustroju zwierzęcym tworzyć się może z białka. Na dowód tego przytoczono także, że przy t. zw. zwyrodnieniu tłuszczowem tkanek w miejscu białka komórek powstaje tłuszcz. Lecz obecnie p. Rosenfeld w rozprawie swej, przedstawionej na ostatnim zjeździe lekarzy w Berlinie, przeczy temu poglądowi i dowodzi, że w organach zwyrodniałych tłuszczowo, tłuszcz nie pochodzi z rozłożonego białka, lecz z zapasów tłuszczowych złożonych w ustroju zwierzęcym. Jeżeli psa wygłodzimy i następnie go karmić będziemy tłuszczem baranim, odłoży on w swym ciele obcy, tłuszcz barani. Wiadomo, że zatrucie fosforem prowadzi do zwyrodnienia tłuszczowego wielu organów zwłaszcza wątroby. Otóż, jeżeli psa wygłodzimy do utraty tłuszczu, a następnie będziemy zatruwali fosforem i karmili tłuszczem baranim, okaże się, że u zwierzęcia tłuszcz ten złożony zapasowo wędruje do wątroby i mamy przed sobą psa ze zwyrodnieniem wątroby „baranio-tłuszczowom“. Sukę ciężarną pozbawiono tłuszczu przez głodzenie i potem karmiono tłuszczem baranim. Suka poroniła, lecz wytworzyło mleko zupełnie podobne do owczego. Rosenfeld okazuje tłuszcz z owych psów wydobyty, zewnętrznemi cechami swemi zarówno jak ciężarem właściwym, punktem topliwości i t. d. zupełnie przypomina on tłuszcz barani. Z tych wszystkich doświadczeń wynika, że niema w istocie prawdziwego zwyrodnienia tłuszczowego t. j przemiany białka patalogicznego na tłuszcz. Rosenfeld formułuje wniosek, że wszelki tłuszcz ciała zwierzęcego pochodzi albo z tłuszczu pokarmowego, albo z wodanów węgla, pobieranych w pokarmie. Pies jego „już przez 2 miesiące żyje, mając w swym ustroju tłuszcz barani i prawdopodobnie przez całe życie tłuszcz ten w sobie zachowa“. Z wodanów węgla, z cukru pies wytwarza sobie właściwy, psi tłuszcz; lecz tłuszcz obcy pozostaje w jego ciele bez zmiany. Podobnie jak przez karmienie tłuszczem baranim, można wytworzyć takiego psa „baraniego“, tak przez karmienie tłuszczem kokosowym można wytwosprzyć „palmowego“. (Wszechświata Nr. 30. T. XVI. r. 1897).

Wytrzymałość zwierząt na pragnienie. Uczeni postanowili przekonać się, w jakim stopniu zwierzęta są wytrzymałe na pragnienie.

Dotychczas prym trzymał na tym punkcie wielbłąd, nawet w porównaniu ze zwierzętami zapadającemi w sen zimowy. Że taki kret, niedźwiedź, suseł, albo jeż obchodzi się przez parę miesięcy bez wody, to nic dziwnego, bo czerpie przez pory ciała niezbędną dla swego organizmu wilgoć z bezpośredniego otoczenia z ziemi lub powietrza. Pokazuje się teraz, że najodporniejszemi stworzeniami są myszy z gór skalistych. Na rozległych i suchych równinach, przyległych do tego łańcucha, roją się drobne gryzonie, nawet w okolicach, oddalonych na kilkanaście mil od strumienia lub rzeki.

Zkądże czerpią wodę? Że nie mogą się do niej dokopać, to rzecz niezawodna. A zatem muszą się bez niej odchodzić długie dni suszy i czekać, aż spadnie pożądany i rzadki deszcz i ożywi spaloną roślinność i napoi spękaną ziemię. Często mija kilka tygodni, a nawet parę miesięcy, a z nieba nie spadnie ani kropelka.

Przekonano się, że zwyczajna mysz równie dobrze może znosić pragnienie, jak jej krewniaczka amerykańska. Przy pewnym doświadczeniu trzymano w ciepłym pokoju myszy, nie dając im wcale wody w przeciągu przeszło trzech miesięcy. Po upływie tego czasu drobne stworzeńka nietylko że nie poginęły, ale jadły z apetytem kukurudzę i inne ziarno, doskonale wysuszone, jakiem karmiono je stale. Nie znać było, żeby brak wody sprawiał im wielką przykrość; zdrowie ich nie pozostawiało, jak się zdaje, nic do życzenia, prawdopodobnie wytrzymałyby jeszcze dłużej na takiej dyecie. Dowód to, że organizm zwierzęcy jest bardzo giętki i potrafi się przystosować do najcięższych warunków bytu, nawet do takich, jakie panują w otchłaniach morskich, gdzie ciśnienie wody dochodzi kilkuset atmosfer.

Spełniając uchwałę ostatniego Walnego Zgromadzenia dołączamy do dzisiejszego numeru dodatek: „Dla młodszych“, prosząc uprzejmie, by P. T. Członkowie zechcieli odpowiednie artykuły do tego dodatku Redakcyi nadsyłać.

ODEZWA.

Sekretarz uprasza uprzejmie P. T. Członków, by zechcieli mu podawać adresy osób, którymby odezwa nasza zachęcająca do przystąpienia lub założenia filii naszego towarzystwa, przesłana być mogła.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.